

JANUSZ KRUPSKI ur. 1951; Lublin



Tytuł fragmentu relacji	Pierwszy powielacz
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; po 1944 roku
Słowa kluczowe	Lublin, Spotkania, Janusz Krupski,

Pierwszy powielacz

Rok 1975 był bardzo ważny dla kształtowania się naszego środowiska, środowiska „Spotkań”. Przygotowywaliśmy się do podjęcia podziemnej działalności wydawniczej i czekaliśmy na sygnał z Paryża, czy Jeglińskiemu udało się zdobyć powielacz. Sprawa była trudna, bowiem środowiska emigracyjne nie było przekonane do tego pomysłu, zarówno Jan Nowak Jeziorański jak i Jerzy Giedroyc, byli przeciwni takiemu pomysłowi. Uznawali bowiem, że koszty uruchomienia takiej działalności mogą być bardzo wysokie, tzn. represje, które mógłby podjąć aparat bezpieczeństwa w Polsce wobec takiej działalności mogły być bardzo surowe. Nie na próżno komuniści stworzyli i pilnowali monopolu słowa, by z niego łatwo zrezygnowali.

Piotrek Jegliński, który pojechał do Paryża, poprzez jeszcze jakieś znajomości swojej rodziny dotarł do obydwu czołowych przedstawicieli polskiej emigracji politycznej. Przekazał im nasz plan. Jest też pytanie, czego nie zdołaliśmy zweryfikować, czy Jegliński budził na tyle zaufanie, żeby mu wierzyć. Nie można wykluczyć, że panowie obawiali się jakiejś prowokacji, ale myślę, że nie. Liczyliśmy na to, że dla tych osób i instytucji, z którymi oni byli związani zorganizowanie i zakup takiego powielacza to nie będzie oznaczało żadnego wysiłku. W skali materialnej to nie był wielki wysiłek, natomiast dla chłopaka, który wyjeżdżał na Zachód i nie miał tam przygotowanych żadnych warunków do życia, zakup i zdobycie środków we własnym zakresie na taki cel to był bardzo duży wysiłek i Jegliński musiał na coś takiego się zdobyć. Musiał zapewnić sobie mieszkanie, utrzymanie i dopiero z zarobionych pieniędzy mógł zakupić ten sprzęt. Ale czas, który minął od jego wyjazdu do przysłania tego pierwszego powielacza nie był czasem straconym. Byliśmy w kontakcie telefonicznym ze sobą, ale bardzo rzadkim. Chciałbym zwrócić uwagę na to, że w Lublinie właściwie nie dysponowaliśmy telefonem, do którego byłby swobodny dostęp, telefonem, który zapewniałby taką bezpieczną rozmowę. Zakładaliśmy bowiem, że telefony, którymi może interesować się SB będą na podsłuchu, ale przed wszystkim to my nie dysponowaliśmy telefonami. Telefony w naszym środowisku to był wielki rarytas i żeby o czymś porozmawiać to ja musiałem ileś razy jeździć do domu, czy do Warszawy. Jechałem tam, licząc się z tym, że telefon może być na podsłuchu, ale jechałem żeby w ogóle rozmawiać. W rozmowach przez telefon stosowaliśmy pewien kod, ale myślę, że taki kod nie był trudny do rozebrania przez analityków, którzy na tym się dobrze znali. Były pseudonimy osób, nazwanie sprzętu to rower, nadawanie innych nazw czy osobom czy rzeczom. Podawanie

terminu, daty to dodawało się siedem dni, odejmowało siedem. Czasem to były pewne sytuacje, które mogły być czytelne tylko dla nas, tylko ze względu na nasze doświadczenie. Ktoś trzeci nie mógłby się zorientować z kontekstu o co chodzi, bo odwoływaliśmy się do jakichś doświadczeń niepowtarzalnych, to powodowało, że decydowaliśmy czasem prowadzić rozmowy przez telefony, o których wiedzieliśmy, że były na podsłuchu. Natomiast przyjęliśmy taki system komunikowania się, system czasochłonny, ale myślę, że był to system bezpieczny. Nic mi nie jest wiadomo, żeby w tamtym czasie aparat bezpieczeństwa na to wpadł. Był to system przekazywania informacji w ten sposób, że listy i korespondencje, które powymienialiśmy między sobą była mikrofilmowana, mikrofilmowane były również dokumenty, które przekazywaliśmy na Zachód. Związane to było to z życiem politycznym w kraju. Powstawały różnego rodzaju dokumenty, a tym wszystkim interesowała się Wolna Europa i paryska „Kultura”. Znaczną część tych dokumentów przekazywaliśmy do tych ośrodków przez Jeglińskiego. Wiele z nich ukazało się w książce, wydanej w Instytucie Literackim w Paryżu w 1976 lub 1977 roku, Ruch Oporu. Mikrofilmy wprowadzaliśmy do okładek, do grubych twardych okładek. Były tak preparowane, że można było kilka tych mikrofilmów wprowadzić do okładki, tak że nie zostawiało to żadnego śladu. Taką książkę można było wręczyć jakiegokolwiek osobie, która jechała na Zachód. Po prostu dostawała książkę, album czy jakąś powieść, z prośbą o przekazanie znajomej osobie na Zachodzie. Było to powszechnie praktykowane, że się podawało przez osoby wyjeżdżające tego rodzaju prezenty. Osoba ta nawet nie wiedziała, co tam w środku jest. No bo książka, jak książka.

Bezpieka dopóki nie wiedziała, że istnieje tak forma przekazywania, to tego nie kontrolowała. Nawet, jak przeglądali książki, to patrzyli tylko jaki jest tytuł, jak to wygląda. Od strony zewnętrznej nic nie wzbudzało podejrzania. Te książki były naprawdę dobrze preparowane. Mistrzem w tym fachu był (już wspomniany przeze mnie wcześniej) Wit Wojtowicz, który robił to naprawdę dobrze. Czasem, gdy nie było osoby, która mogłaby przekazać książkę dalej na Zachód, to wysyłaliśmy ją pocztą na wskazany adres, opakowaną jako prezent, czasem z jakimś liścikiem, karteczką z pozdrowieniem skierowanym do jakiejś osoby. Szło to na Zachód i docierało. Robiliśmy to najpierw z Lublina, później z Gdańska czy Sopotu i były to przesyłki od Borusewicza. Mam wrażenie, że od pewnego momentu poczta Borusewicza została jakoś namierzona, bo pewne książki nie dochodziły na wskazany adres. W innej korespondencji mówiliśmy, że została wysłana wtedy a wtedy na adres jakaś tam książka i zorientowaliśmy się, że to zaczęło, szczególnie te przesyłki z Gdańska, wpadać.

Dokumenty przekazywane na Zachód odnosiły się głównie do debaty konstytucyjnej, a więc różnego rodzaju listy protestacyjne, komunikaty, informacje dotyczące więźniów politycznych, np. Staszka Kruszyńskiego studenta teologii KUL, który został zatrzymany przez SB właśnie po sprawdzeniu prywatnej korespondencji, którą kierował do kogoś z rodziny, gdzie informował o debacie na temat SZSP na KUL-u w sposób bardzo emocjonalny i opatrzył jakimiś hasłami antykomunistycznymi. Był proces, który się odbył w Lublinie w 1975 r. z wyrokiem skazującym Kruszyńskiego na rok lub półtora roku więzienia. Została wtedy zorganizowana cała akcja protestacyjna, taka „solidarnościowa” ze Staszkiem Kruszyńskim. Myśleliśmy również o innych formach działania, np. jedna z takich ważniejszych akcji, którą przeprowadziliśmy jeszcze przed czerwcem '76 roku, to była akcja przeprowadzona w Pałacu Kultury. Toczyły się tam wtedy obrady chyba pod hasłem: „Demokratyczni studenci Europy” Na konferencję zjechali się przedstawiciele różnych organizacji studenckich, zarówno z Europy Wschodniej jak i jak i Zachodniej. O tej konferencji dowiedziałem się od Jeglińskiego. Przesłał mi najpierw informację na ten temat, potem przetłumaczoną już na język angielski ulotkę (na mikrofilmie), w której informowaliśmy o więźniach politycznych w Polsce, których było chyba dziesięciu, m. in.

wspomniany Staszek Kruszyński, bracia Kowalczykowie i członkowie „Ruchu”, którzy odsiadali wtedy wyroki więzienia. Konferencja była organizowana w ramach porozumienia podpisanego w Helsinkach (Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie), gdzie w tzw. trzecim koszyku było zobowiązanie sygnatariuszy Konferencji do przestrzegania praw człowieka i wolnego przebiegu informacji. W związku z tym chcieliśmy tą drogą poinformować studentów Europy Zachodniej o faktach łamania praw człowieka w Polsce i o istnieniu więźniów politycznych w Polsce. Władze PRL-u utrzymywały bowiem, że w Polsce nie ma więźniów politycznych. Uznaliśmy, że dla lepszego efektu naszej deklaracji pod tekstem powinien być podpisany jakiś podmiot, więc wymyśliliśmy nazwę: „Studencki Komitet do Spraw Przestrzegania Ustaleń Konferencji Współpracy w Helsinkach”. Później wyprodukowaliśmy na powielaczu kilka ulotek sygnowanych przez Wspomniany wyżej Komitet.

Informacje o więźniach politycznych mieliśmy z różnych źródeł. Były procesy polityczne, bynajmniej nie tajne, barci Kowalczyków, procesy „Ruchu” i wyroki z tym związane. Zebraliśmy razem te wszystkie informacje, w innym miejscu zostało to opracowywane i w ten sposób opublikowane. O innych więźniach politycznych być może nie wiedzieliśmy, ale poinformowaliśmy o znanych przypadkach. Ulotka została powielona w kilku egzemplarzach i na konferencję do Warszawy pod Pałac Kultury (obradę toczyły się w sali kongresowej) wyjechało kilka grup studentów z KUL-u, tam m. in. Marian Piłka, Krzysztof Żórawski i jego siostra Hania i jeszcze kilka osób, np. [Magda] Górka. Umówiliśmy to tak, że te osoby miały w momencie, kiedy uczestnicy konferencji wychodzili z Pałacu Kultury, a język którym rozmawiali, ubranie wskazywałyby na to że to studenci z Zachodu, wręczyć taką ulotkę i bardzo szybko oddalić się.

Wyjazd naszych kolegów ze studiów przygotowałem w porozumieniu z Jeglińskim, natomiast inne grupy do wyjazdu przygotowywał Borusewicz. Staraliśmy się wykorzystać, jak to było możliwe, reguły konspiracji i rzeczywiście studenci z Europy Zachodniej takie ulotki dostali. Władzom bezpieczeństwa nie udało się nikogo złapać przy wręczaniu tych ulotek. Te ulotki zostały później odczytane na sali obrad i organizatorom nie udało się temu zapobiec. Była taka sytuacja, że student Niemiec – a musimy pamiętać, że dyskutant miał tylko trzy minuty na wyłączenie swojej kwestii – kiedy skończył się mu czas otrzymał jego prolongatę od studenta szwedzkiego, który oddał mu swoje trzy minuty. W ten sposób cała ulotka została odczytana. Na skutek debaty, która została wywołana przez tę ulotkę, nie doszło do podpisania komunikatu końcowego, co wywołało duże zamieszanie i konsternację komunistycznych działaczy studenckich. Więc to działanie było naszym dużym sukcesem i była to pierwsza ulotka sygnowana przez właściwie nie istniejący Młodzieżowy Komitet do Spraw KBWE.

Ta ulotka i kilka następnych było drukowanych na powielaczu, który w Lublinie pojawił się, dokładnie nie pamiętam, w lutym albo w marcu '76 roku. Kilka miesięcy wcześniej dostałem wiadomość od Jeglińskiego, że już zakupił wielki powielacz i chce go przesać do kraju, tylko pytał czy nie jedzie ktoś z kraju kto mógłby taki powielacz zabrać. Udało mi się porozumieć z kolegą, który wtedy był na trzecim lub czwartym roku studiów na historii [sztuki], Witem Wojtowiczem (tym, który „preparował” nam wcześniej kilka książek do wysyłki mikrofilmów), że on wyjeżdża właśnie na przełomie zimy i wiosny do Londynu z teatrem akademickim, a konkretnie Sceną Plastyczną Teatru Akademickiego KUL Leszka Mądzika. To był wyjazd autokarem. Jechała cała obsługa, aktorzy i dekoracje. Autokar był wypełniony bardzo różnym sprzętem i uznaliśmy, że to najlepszy sposób, żeby w niezauważony przez nikogo sposób taki powielacz przewieźć. To był powielacz nie tak duży, więc został rozebrany na części, które żeby nie zwróciły uwagi zostały w wiadomych sobie miejscach przez Wita rozłożone. Potem udało mu się zebrać to wszystko w całość, skrócić i powstał powielacz spirytusowy. Był on wielkości

średniej maszyny do pisania, stosunkowo lekki, bo obudowę miał plastikową, a części drukujące chyba z aluminium

Powielacz był mało wydajny, ale dzięki matrycom można było 100 egzemplarzy jakiegoś tekstu zrobić. Chodziło nie tylko o to, że się w ten sposób jakieś teksty zwielokrotniało, ale przełamywało się pewne podejście do tego typu działalności. Powielacze, które były w Polsce były ściśle reglamentowane, przypisane do jakiejś organizacji, instytucji, ewidencjonowane i nie wolno było osobie prywatnej, czy bez zezwolenia takiego sprzętu używać. Rosjanie, tu chcę to podkreślić, omijali prawo zakazujące powielania jakichś informacji w ten sposób, że przepisywali na maszynach poprzez kalki jakieś teksty i to się nazywało „samizdatem”. Nie chcieli natomiast przekroczyć granicy tego zakazu jakim było właśnie powielanie. Zdecydowaliśmy się to przekroczyć i ważny był też czynnik psychologiczny. Oczywiście na maszynie można było też 100 kopi uzyskać jednocześnie, ale przy pomocy 100 maszynistek. Ważne więc było przekroczenie tego progu psychologicznego, pewnego zakazu. Zdecydowaliśmy się to zrobić i to zrobiliśmy.

Wit Wojtowicz, przewożąc powielacz w częściach nikogo naturalnie nie informował, nawet Leszka Mądzika. Tak umówiliśmy się. Myślę, że Wit dotrzymał słowa i z nikim się nie dzielił tą wiedzą. Powielacz dotarł pewnie w okolicach marca do Lublina, złożyliśmy go, co nie było rzeczą trudną i usiłowaliśmy coś na tym powielaczu wydrukować. Najpierw były to pewne próby. Pamiętam, że jedną z takich prób było powielenie Folwarku zwierzęcego Orwella. Matryce przepisywała Bożena Balicka, sympatia naszego kolegi Zdzisława Bradela. Natomiast te pierwsze próby powielenia z kolei dokonywałem ja.

Technicznie to wyglądało tak, że najpierw trzeba było przepisać na maszynie do pisania tekst na matrycy i tą matrycę nawijało się na bęben powielacza, wprowadzało do zbiornika denaturat albo można było wprowadzić jakiś inny zabarwiony alkohol (denaturat był najtańszy, więc on był używany) i podkładało się pojedyncze kartki papieru maszynowego w formacie A4, a następnie drukował się tekst. Te pierwsze próby podejmowałem ja i nie były one specjalnie udane, nie umieliśmy jeszcze robić dobrych matryc, nie potrafiliśmy dobrze regulować nacisku tego bębna na papier. Powstawały często plamy, litery się bardzo rozmywały, ale po różnych próbach udało się w końcu uzyskać w miarę przyzwoite efekty, czyli czytelny druk na kartce papieru. Kiedy przyszło takie ulotki przygotować na konferencję studentów demokratycznej Europy, a później kiedy doszło do rozruchów w Bytomiu, mogliśmy opracowywać i powielać w niewielkiej ilości teksty, które podpisywaliśmy jako komunikaty Studenckiego Komitetu do Spraw Przestrzegania Konferencji KBWE. Te ulotki można przeczytać w książce Ruch oporu. Jeszcze przed powstaniem KOR-u pierwsze ulotki sygnowane przez nasz „komitet” rozprowadzane były w niewielkiej ilości lub rozrzucone gdzieś na mieście, ale to były bardzo niewielkie ilości tego, najwyżej kilkadziesiąt egzemplarzy. My staraliśmy się też to tak konspirować, żeby nie zostało to przez SB odkryte, na przykład tych ulotek nie rozprowadzaliśmy w Lublinie, żeby nie wskazywać na ewentualne miejsce, z którego one mogą pochodzić. Ulotki rozprowadzali nasi koledzy-studenci, którzy jechali do domu gdzieś w Polsce, np. do Warszawy, Szczecina (Krzysio Żórawski), Gdańska (Piotrek Kałużyński). Być może ulotki te zachowały się w Bibliotece KUL.

Kiedy mieliśmy już powielacz w Lublinie, to myśleliśmy o robieniu czegoś więcej niż tylko jednokartkowe ulotki, bo myśleliśmy o robieniu jakiejś prasy niezależnej. Trzeba było myśleć o zdobywaniu tekstów, zorganizować redakcję i w końcowym efekcie przekazywania tą drogą jakiejś myśli. Oczywiście mieliśmy przekonanie, że nasz powielacz jest pierwszym. Nie słyszeliśmy bowiem o żadnym innym i nie stykaliśmy się z żadnym innym powielanym tekstem o

takim charakterze i tą drogą. Dlatego mamy prawie pewność, że był to pierwszy powielacz, który pojawił się w kraju.

Najprawdopodobniej te powielacze nie zachowały się. Pierwszy powielacz przekazałem – po otrzymaniu drugiego, już większego – do Warszawy. Osobiście odbierał go ode mnie Marcin Gogulski, który współpracował wtedy z Antonim Macierewiczem⁷; to środowisko związane było wtedy z KOR-em ten pierwszy powielacz od nas przejęło. Drugi powielacz był gabarytowo większy, mniej więcej pół metra na pół metra. Wyglądał trochę jak sklepowa kasa, ważył kilkanaście kilogramów. Pamiętam, że nazwaliśmy ten powielaczieszczotliwym imieniem „Zuzia”, ale dlaczego to nie wiem.

Nasz pomysł powielania na naszym powielaczu poza cenzurą prasy chcieliśmy skonsultować z warszawskim środowiskiem opozycyjnym. Było to jeszcze przed czerwcem '76 roku i w tym celu umówiliśmy spotkanie z Jacekiem Kuroniem. W tym spotkaniu wziął udział Borucki, ja i Kuroń. Powiedzieliśmy Kuroniowi że mamy taki pomysł, nie mówiliśmy że mamy powielacz, jest taki pomysł żeby ściągnąć, uruchomić powielacz, na którym można by było jakąś niezależną prasę wydawać. Kuroń, podobnie jak Giedroyc i Nowak-Jeziorański, zdecydowanie co do takiego pomysłu się sprzeciwił. Powiedział, że on ma taki pogląd na działanie opozycyjne, że należy zmuszać do przestrzegania prawa, do przestrzegania konstytucji jak ona jest niedoskonała, bo władze komunistyczne łamią prawo, a nie należy tworzyć faktów, które byłyby jawnym łamaniem obowiązującego prawa. Wiedzieliśmy, że nie możemy liczyć na poparcie ze strony Kuronia, nie informowaliśmy go zresztą, że powielacz posiadamy. Postanowiliśmy jednak ten powielacz uruchomić. Wychodziliśmy z założenia, że nie będziemy przestrzegali peerelowskiego prawa, które dla nas było bezprawiem. Postanowiliśmy ograniczenia przekraczać i łamać prawo, np. powielać ulotki, o których wcześniej wspominałem. KOR natomiast zaczął wydawać komunikaty przepisywane na maszynie na przebitkowym papierze, o takim błękitnym odcieniu. Te komunikaty KOR-u były rozprowadzane między ludzi przepisywane na maszynach. W ten sposób rozprowadzano może kilkadziesiąt tych komunikatów. Pamiętam, że wtedy skontaktowałem mnie z Macierewicze Borusewicz, który powiedział, że powielacz będący w naszym posiadaniu mógłby służyć powielaniu tych komunikatów i w tej sprawie mogę rozmawiać z Macierewiczem, który zresztą był w korze. Rzeczywiście dogadaliśmy się z Macierewiczem. Nie miał takich poglądów czy takich skrupułów, jak Kuroń. On mi przekazywał „Komunikat”, po który często ja przyjeżdżałem do Warszawy. One były powielane w Lublinie i w całości z Lublina doręczane do Warszawy. W Lublinie tych powielanych „Komunikatów” nie rozprowadzaliśmy, one często trafiały do Lublina z Warszawy. Bardzo pilnowaliśmy żeby bezpieka nie rozpoznała źródła powielania. Już nie pamiętam jaką liczbę tych „Komunikatów”, a później „Biuletynów KOR-u” przekazywaliśmy do Warszawy. Kiedy otrzymaliśmy, bodajże w grudniu '76 roku większy powielacz postanowiliśmy robić na nim większe teksty.

Powielacz ten, czyli „Zuzię”, dostaliśmy od Jeglińskiego. Przywiózł go jakiś jego znajomy i pod moją nieobecność zostawił w moim domu. Omawialiśmy najpierw jakąś drogę przekazania go przez Warszawę, ale w końcu zupełna niespodzianka. Któregoś dnia wracam do domu i w moim pokoju stoi powielacz. Tak się zastanawiałem, biorąc pod uwagę, że dom może być obserwowany, bo przecież ja byłem wtedy osobą aktywną, jak go z domu w sposób niedostrzeżony wyprowadzić na zupełnie inny adres i to się udało.

Byliśmy nastawieni na robienie rzeczy większych. Zorganizowany był zespół, w którym był [Wojtek] Butkiewicz student historii sztuki, był Wit Wójtowicz i był Janek Stepek z historii, a ponadto Hania Żórawska i Krzysztof Żórawski. Mając większy powielacz po pierwsze

przekazałem ten mniejszy do Warszawy, po drugie umówiłem się znowu z Antkiem Macierewiczem, że można już robić rzeczy zdecydowanie większe, niż tylko „Komunikaty” czy „Biuletyny KOR-u”. Początkowo myślałem o tym żeby powielić pierwszy tom Archipelagu Gułag, który wtedy pojawił się w Bibliotece Instytutu Literackiego w Paryżu. To był duży kilkusetstronicowy tom, ale w trakcie którejs z rozmów, chyba w lutym '77, Macierewicz powiedział mi, że ma inny pomysł. Pojawia się mianowicie pismo niezależne, a on postara się to pismo od redaktorów wydobyć i dostarczyć mi żebym mógł je powielić. Stwarzało to poważne problemy finansowe o organizacyjne. Pamiętam, że pismo „Zapis” dostałem pewnie na początku maja '77 roku, ponieważ jakiś czas trwało przekonywanie redaktorów i autorów pisma żeby ono zostało powielone, a nie przepisywane na maszynie do czego oni bardziej skłaniali się. W końcu Macierewiczowi udało się ich przekonać i w maju dostałem materiały do Lublina. Pojawił się rzeczywiście problem finansowy. Po prostu nie było pieniędzy na ten cel. Trudno było chodzić po jakiś znajomych, prosić o pieniądze i mówić w jakim celu, żeby nie zdradzić tajemnicy. Zdecydowałem się wtedy zlikwidować książeczkę oszczędnościową, którą mi założyli rodzice jako wkład na mieszkanie. Dawało to największe gwarancje bezpieczeństwa całej operacji. Za te pieniądze zakupiłem potrzebną ilość papieru, a więc około 100 ryz. Matryce przepisywała Bożena Balicka, robiła to w mieszkaniu [Zdzisława] Jamrożka – inwalidy z Lublina, który mieszkał przy ul. Hutniczej. Zrobiła to dobrze i w czerwcu mogliśmy przystąpić do powielania.

Data i miejsce nagrania	2005-05-16, Warszawa
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Magdalena Ładziak
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"